Rok XXVI. Maj i Czerwiec 1902. Nr. 5. i 6.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi **2 k. 40 h.** Dla nauczycieli Tow. i uczniów tylko **1 k. 40 h.** z przesyłką **1 k. 64 h.**

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie pl. Bernardyński 7. dokąd wszystkie pisma — zaś wkładki i prenumeraty adresować należy: Adolf Mussil ul. Kar. Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

REDAKTOR: DR. JÓZEF LIMBACH.

Lis mikita w bajce i wierzeniu ludowem u wschodnich Azyatów *).

Przez

Prof. Bronisława Gustawicza.

Żadne zwierzę nie zajęło w bajce i baśni ludowej wszelkich czasów i wszelkich narodów tak wybitnego stanowiska, co lis mikita, ów największy chytrzec i frant z pomiędzy wszystkich czworonogów. Chytrość, z którą z jednej strony umie podejść podstępnie upatrzone swe ofiary, a z drugiej ujść zasadzek swych wrogów, zrobiła go w bajce przedstawicielem podstępu i przebiegłości.

Achilles, idealna postać bohaterów homerycznych, odznaczający się siłą, zręcznością i nadzwyczajną odwagą, poległ

---

*) Odczyt miany na posiedzeniu naukowem Chrzanowskiego Oddziału Towarzystwa ludoznawczego w Krzeszowicach dnia 24. marca 1900 r.

w wrzawie wojennej. Jego zbroję, która miała przypaść najdzielniejszemu i najbardziej zasłużonemu z orszaku bohaterów w ostatecznem zdobyciu Troi, przyznało zgromadzenie książąt i wodzów nie Ajasowi Wielkiemu, synowi sławnego Telamona, króla wyspy Salaminy, jednoczącemu w sobie surową, ale ślepą siłę, lecz jego współzawodnikowi, przemyślnemu, przebiegłemu Odyssejowi, który już wielokrotnie dał dowody nietylko swego rycerskiego animuszu i nieustraszonego męstwa, lecz służył także niejedną dobrą radą, pełną przebiegłego wybiegu i podstępu wojennego, a którego los przeznaczył, by wojska greckie doprowadził do ostatecznego, pełnej chwały zwycięstwa.

W taki sam sposób zwycięża Reineke-lis w niemieckiej baśni zwierzęcej swego największego wroga i zawistnika, t. j. wilka, — ale nie siłą. Jakże łatwo byłby mu uległ w boju! Wszyscy przyjaciele lisa przewidują nieuniknioną klęskę jego. Wilk, przedstawiciel brutalnej siły, z początku jest górą nad lisem, przedstawicielem zręczności i przebiegłości. W otoczeniu lwa-króla nieustanna wrze walka między temi odwiecznemi stronnictwami, z których każde chce panować, jedno teroryzmem, drugie podstępem i chytrością. Że drugie pokonywa pierwsze, zgodne to z naturą rzeczy, inteligencya bowiem potężniejszą nieraz bywa od siły fizycznej. Oba te jednak stronnictwa w ostatecznych owych dążeniach przedstawiają się ze strony ujemnej, jedno zamieniając władzę w przemoc uciskającą, drugie przeistaczając rozum w zdradliwą przebiegłość. Wkońcu Reineke-lis zwycięża i otrzymuje najwyższą godność kanclerza państwa. Otóż ta chytra, przebiegła i podstępna zdradliwość charakteryzuje znakomicie całą istotę lisa-mikity.

Aby wyjaśnić, dlaczego lis zażywa w wysokim stopniu bałwochwalczej czci u wszystkich prawie ludów wschodniej Azyi, przedewszystkiem zaś u Chińczyków, a więc u ludu napół oświeconego, zboczymy cokolwiek od właściwego tematu.

Dwie zwłaszcza są przyczyny, dla których mistrz-mikita doszedl do owej boskiej czci, a przyczyny te mają również swe źródło w jego przysłowiowo znanej chytrości i przebiegłości. Albo uchodzi on u wschodnich Azyatów za zwierzę poświęcone bogu bogactwa, t. j. tak zwanemu „Tsai-shen“ czyli „Mammonowi“, albo jest nim nawet sam, albo też wreszcie przypisują mu zdolność przybierania na się wszelkiej możliwej postaci, ba

nawet nieśmiertelność. Nieśmiertelność zaś zawdzięcza on tej okoliczności, iż przy swej chytrości udało mu się — według pojęć Chińczyków — posiąść „eliksyr życia“, ów cudowny, czarodziejski napój, który jeszcze dzisiaj zawraca wschodnim Azyatom mózgownicę, podobnie jak niegdyś zdobycie i posiadanie go było u nas w Europie najwyższym, najbardziej upragnionym ideałem każdego alhemisty i cudownego lekarza średnich wieków. Otóż co żadnemu śmiertelnikowi z pomiędzy ludzi, mimo największych starań, nie udało się do tej pory, to zdołał zdobyć lis-mikita swoją podstępną, przebiegłą i zdradziecką chytrością.

Lis nie jest jedynem zwierzęciem, co odbiera cześć boską od ludów wschodniej Azyi. Północne bowiem Chiny podobne zdolności i skłonności, jakie dzierży lis, przypisują jeszcze czterem innym zwierzętom; Chiny zaś południowe czczą tylko lisa, a przyczyny tego zjawiska szukać należy w wielkiej różnicy, jaka zachodzi między ludnością, zamieszkującą olbrzymi szmat ziemi Azyi wschodniej. Chińczyk południowy spogląda z pewną pogardą na Chińczyka północnego, po większej części nieokrzesanego, jak gdyby był innej rasy, innego plemienia. Chińczycy północni byli w odległych czasach szamanami, a kult szamanów przyjmował zawsze pewną liczbę zwierząt za półbogów, albo też przynajmniej uważał je za istoty na równi stojące z człowiekiem. Jeszcze dzisiaj uniewinnia się np. Indyanin Ameryki północnej przed niedźwiedziem, swym domniemanym stryjaszkiem, zanim go zabije, że do tego czynu zmusza go walka o byt, konieczność. W Chinach południowych zaś panował kult wężów i drzew, zanim buddyzm rozjaśnił nieco umysły ludzkie. Etyka Konfucego nie zapuściła jeszcze do dziś dnia prawdziwych korzeni w życie duchowe nieokrzesanego ludu i prawdopodobnie nie dopnie tego, gdyż jest dla niego nieprzystępną, niezrozumiałą.

Zasię w samej stolicy Chin, t. j. w Pekinie, i w najbliższej jej okolicy, ludność czci tylko cztery zwierzęta jako półbogi, zwłaszcza lisa, węża, łaskę i jeża. Zowią je „Ssuhsien“, tj. „czterema geniuszami“, „czterema nieśmiertelnymi“.

W Tyencynie, mieście położonem na południe od Pekinu, i w wielu innych miejscowościach do tej czwórki półbożków przybywa jeszcze piąty półbożek, tj. „szczur“. Tę piątkę świętych zwierząt zowią „Wu-ta-chia“, co znaczy: „pięć wiel-

kich rodzin“ albo „pięć wysokich (dostojnych, oświeconych) rodzin“. Tworzą one dobrze u wschodnich Azyatów znaną pentalogią: „Hu, huang, po, liu, hui“. Zowią ją także: „Yeh-chia“, tj. „izbą panów“ (*patres conscripti*) albo też „Hsien-chia“, tj. „rodziną geniuszów“, albo poprostu: „geniuszami“.

To, cośmy powyżej powiedzieli, wymaga kilku wyjaśnień. Przez wyraz „Hsien“, który zwykle tłumaczą wyrazem „geniusz“, rozumieją Chińczycy to, co ongi w Rzymie i Grecyi oznaczały muzy i inni niżsi bogowie, *dii minorum gentium*. Mitologia chińska zna początkowo tylko ośm takich geniuszów, między nimi jednę boginię „po-hua-hsien“, t. j. boginię kwiatów. Z biegiem czasu pojęcie to „hsien“ rozszerzyło się cokolwiek, bo miano „hsien“ nadają już większej liczbie bogiń, z pomiędzy których na wspomnienie zasługuje bogini „chui-hsien“, tj. bogini wodna, nimfa. Tej to bogini czyli temu żeńskiemu geniuszowi poświęcony jest piękny, niedawno do Europy sprowadzony chiński narcyz, „chui-hsien-hua“, tj. kwiat wodnej bogini, bardzo ulubiony kwiat przez kobiety chińskie i japońskie. Wogóle słowo „hsien“ oznacza za wschodnich Azyatów wielokrotnie to, co my rozumiemy przez demony, kobolty, kołbuki, dyabełki, dziwożony, rusałki i t. d. W wielu przypadkach różne znaczenia tego wyrazu tak się mięszają z sobą, że trzeba dopiero samemu wybrać z pomiędzy nich znaczenie właściwe. Chiński znak piśmienny na ten wyraz „hsien“ przedstawia człowieka stojącego obok góry, albo też na górze, z czego możemy wysnuć przypuszczenie, że siedzibą tych geniuszów „hsien“ umieszczono na górach. A może niegdyś przez wyraz „hsien“ rozumiano coś takiego, jak w starożytnej Grecyi przez nimfy leśne, Pan i t. d.?

Wyraz „chia“ oznacza właściwie dom, a że w Chinach każdy dom jest zwyczajnie mieszkaniem tylko jednej rodziny, więc wyraz ten możemy tłumaczyć poprostu przez „rodzina“. „Chia“ atoli może oznaczać także głowę rodziny, pana domu, poprostu „pana“ (porównaj łacińskie *dominus* i *domus*).

Bajki i baśnie ludowe mają bardzo wielki urok, a w zbieraniu ich największym skrupułem jest to, że są niewyczerpane. Sądzimy nieraz, żeśmy zebrali sumiennie materyał do jakiegoś przedmiotu, jak np. w obecnym przypadku do baśni lisiej, a tymczasem przy porządkowaniu i układaniu go okazują się na wsze

strony gałązki i pędy, które jak u pnącej rośliny od pnia macierzystego przeciągają się do sąsiedniego krzewu, aby tu uczepiwszy się go nowy znaleźć pokarm i dalej się rozkrzewiać. A jak ogrodnik nie może odciąć tych pędów jako zbyteczne, jeżeli nie chce zepsuć ogólnego wrażenia, ogólnego pokroju rośliny, tak samo i nasz temat zmusza nas do bujania po innej dziedzinie chińskiej baśni zwierzęcej i do wciągania jej w nasz zakres dla lepszego zrozumienia rzeczy. Dlatego też pozwolimy sobie zatrzymać się cokolwiek obszerniej nad innemi zwierzętami, w skład rzeczonej pentalogii wchodzącemi.

Wprowadzenie węża w zakres pięciu zwierząt-geniuszów, daje się łatwo usprawiedliwić jako przeżytek starożytnego kultu wężów. W baśniach zwierzęcych krajów zachodnich odgrywa zdrada i podstęp węża wielką rolę, a w chińskiej baśni wąż przedstawia wogóle istotę sprzyjającą człowiekowi. Uznane za państwowe w Chinach religie nie próbowały, ani nie zdołały węża napiętnować jako symbol „złego“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Fizyologia wyścigów
w ich stosunku
do krajowej hodowli koni

przez
Dra Juliana Ochorowicza,
kandydata nauk przyrodniczych

I.
Cel wyścigów.

Czy wyścigi są instytucyą użyteczną?

Sportsmeni mogą mi wziąć za złe samo postanowienie kwestyi, dla nich bowiem nie ulega to wątpliwości. Pospieszam dodać, że i dla mnie także, tylko z jednem małem zastrzeżeniem: wyścigi są instytucyą użyteczną, a nawet niezbędną, *o ile odpowiadają swoim celom.* Możliwym zaś jest taki wypadek, że w zasadzie są instytucyą użyteczną, *tylko nie takie, jakie się dziś praktykują.*

Cele wyścigów, poza przyjemną rozrywką na świeżem powietrzu, mogą być następujące:

1. *Ułatwić ocenę względnej wartości koni.*

Nie ulega kwestyi, iż najbardziej wyrazistą miarą względnej wartości koni jest wyścig. Ani powierzchowne, ani nawet gruntowne obejrzenie konia, nie da nam równie dobrej miary porównawczej. Widząc, jak jeden odpada w wyścigu, mimo bata, gdy drugi w cuglach dobiega do mety, uprzytomniamy sobie od razu, o ile jeden jest lepszym od drugiego. Wyścigi są mikroskopem, powiększającym poglądowo różnicę wartości koni, i pod tym względem nic ich zastąpić nie może.

2. *Wykazać, jaki wpływ na ową wartość mają: pochodzenie, hodowla, trening etc.*

Jeżeli jedna stajnia wygrywa, a druga stale przegrywa, to widocznie ta druga popełnia jakieś błędy, bądź to w wyborze reproduktorów i matek, bądź w żywieniu i trenowaniu koni, bądź wreszcie w wyborze jeźdźców. Metodą wyłączeń możnaby wykryć te błędy i usunąć je. Wskazówki pod tym względem byłyby bardzo cenne, ale czy je dzisiejsze wyścigi dać mogą? Los w nich odgrywa tak wielką rolę, że jedna zaciera drugą.

3. *Rozwijać w koniach te przymioty, których od nich żądamy, a mianowicie szybkość i ambicyę, odwagę i zręczność (przeszkody), siłę i wytrzymałość.*

4. *Przygotowywać reproduktorów, któreby owe przymioty mogły przekazać potomstwu.*

Rozumie się nie wyłącznie potomstwu wyścigowemu, gdyż zasada „wyścigi dla wyścigów“ byłaby błędnem kółkiem. Koń wyścigowy powinien poprawiać rasę krajową; na to zgadzają się wszyscy. To jest cel główny, jak niektórzy twierdzą, nawet jedyny. Zachodzi tylko pytanie:

Czy czasem rozbrat między właściwościami konia pełnej krwi, a właściwościami konia rasy krajowej nie stał się zbyt wielkim, i czy krzyżowanie ryby z rakiem może do czegokolwiek doprowadzić?

Zasada dziedziczności nie jest bezwzględną, ale jest fizyologicznie i doświadczalnie stwierdzoną. Jakkolwiek nie wszyscy potomkowie pierwszorzędnych wyścigowców dają tak duży procent dobrych koni, jak np. potomkowie Rulera u nas, niemniej jednak zasada jest słuszną i żaden przyrodnik przeciw niej nie wystąpi.

Przymioty indywidualne przenoszą się na potomstwo; koń zaś wyścigowy jest w pewnym względzie wyborowy, nawet niezależnie od tego, czy wyścigi same przez się zmierzają do poprawy rasy. A to z następującej przyczyny:

Koń wyścigowy, ażeby mieć szansę wygrania musi pracować w treningu. Jest to praca w innych względach bezużyteczna, ale ciężka, której nie przenoszą konie słabe, lub z zasadniczą jakąś wadą budowy. Wyjątkowo silne płuca, dobry układ kostny i zdrowe mięśnie są dla nich niezbędne. Łatwo zrozumieć, że koń zreumatyzmowany niedaleko zajedzie, że koń dychawiczny wcale biegać nie będzie. Niezbędność tego warunku: *zdrowia* sprawia, że wyścigi są rodzajem sieci, w której grzęzną konie wątlejsze. Ów dobór sztuczny ma więc tę zasługę, że wskazuje do reprodukcyi konie rzeczywiście wybrane.

Na nieszczęście jest to zasługa nieszczera, tak dalece nieszczera, że, jak zobaczymy, będziemy mieli prawo zapytać się, czy czasem dzisiejsze wyścigi, wyłączając konie słabe i leniwe, a odznaczając silne i rącze, nie czynią następnie wszystkiego, co tylko mogą, ażeby owe, raz wyróżnione konie, owe jednoroczne znakomitości, jak najprędzej zrujnować i dopiero wtedy złożyć na ołtarzu kultury?

5. *Popierać racyonalną hodowlę w kraju przez odpowiednie nagrody.*

6. *Ułatwiać wyrobienie się umiejętnych jeźdźców krajowych.*

Czy dzisiejsze Towarzystwa wyścigowe zgodziłyby się na powyższe określenie celów? Sądzę, że tak.

§ 1-szy ustawy naszego Towarzystwa opiewa: „Celem Towarzystwa jest rozwój rasowości i hodowli koni w guberniach Królestwa Polskiego, oraz zachęta w rozmnażaniu i otrzymywaniu rodzajów koni, odznaczających się *szybkością, siłą i niezmordowaniem przy pracy*, przymiotami, tyloletniem doświadczeniem stwierdzonemi“.

Styl jak styl, ale myśl jest dobra. Chodzi tylko o to, jak ona wygląda w praktyce?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przyjaciel koni.

POWIASTKA

przez

Adolfa Dygasińskiego.

(Ciąg dalszy).

Pomiędzy ludźmi zrobił się z niego mruk jeszcze większy: bał się poprostu gęby otwierać, nie wiedząc, czy czego z reszty nie oberwie, gdy mu się przypadkiem jakie słówko wymknie. Uważał sobie za łaskę, jeżeli od którego gospodarza albo od gospodyni nie dostał po łbie, po grzbiecie, i takich, jakby swoich dobroczyńców, z pokorą całował w ręce, kłaniał im się pod kolana. Mówili ludzie we wsi, że ma dla starszych posłuch, i wykierowali go nareszcie na gromadzkiego świnioposzanę, Ile tylko było świń chłopskich w Przybylicach, Franek wszystkie pasał, a za to codziennie w innej chałupie jeść mu dawano. Co się go też wtenczas nielitościwi nabili — Jezus, Marya, Józefie święty! — Za każdziuteńką świnię odpowiadał swoją własną skórą: czy gdzie w szkodę zalazła, czy jej się co złego stało, zawdy Franek za to pokutował; osobliwie też od gospodyń obrywał. Czasem wdał się w rozmowę z innymi chłopakami i miał on zwyczaj przemawiać w te słowa:

— Kiej zostanę fornalem, to se aby między końmi użyję!

Dopiero się natrząsali z niego pasterze, mówiąc:

— Co, ty pokrako fornalem myślisz zostać?.. Patrzajcie-go takiemu niezdarze chce się do koni! A w psy tobie jeździć, nie w konie!...

W psy nie jeździł Franek; ale jak sobie upatrzył taką chwilę, że nikt nie wiedział, to dosiadał którego tęgiego wieprzka, założywszy mu przedtem w zęby wędzidło z patyka, a na łeb uzdę z łyka wierzbowego, i paradował po pastwisku, udawał sam przed sobą, że niby wierzchem jeździ. Miał taki wieprz za swoje, kiedy mu przyszło godzinę pod chłopakiem kłusować. Innym razem znowu zaprzęgał w lejce cztery świnie, palił nad niemi raz po razu z bicza i myślał sobie, że jest stangretem.—

Podpatrzyli go byli ludzie, przyłapali na gorącym uczynku i sprawili setny basarunek za onę pastuszą swawolę. Rozniosło się to po wsi, baby się zaraz nań zmówiły i skatowały chłopczynę bez miłosierdzia. Niepoliczone rzeczy, ile szturchańców on tam dostał od nich po łbie, za plecy, gdzie która dopadła. Miały te kobiety litość nad świniami, a nie miały jej dla biednego sieroty. Co prawda, na karę zasłużył, jeno przecie nie na taką okrutną.

W dodatku jeszcze wszyscy sobie potem robili z nieboraka pośmiewisko i jak go raz nazwali „świńskim stangretem“, tak się już to przezwisko na zawsze przylepiło do niego. Dokuczali na wszystkie sposoby.

Przez parę lat uganiał się nasz Franek za gromadzkiemi świniami, z któremi też miał niemałą robotę, jako były ogromnie szkodne i do żadnego moresu nieprzyuczone. Spłakał się nieraz rzewnemi łzami, gdy się która znarowiona świnia wyrwała i jak szalona pędziła gdziebądź w pola. Pogonił za jedną, a tu inne już pomykają na wszystkie strony. Ani on kościoła nie widział ani wśród ludzi nie bywał; — święto nie święto, pogoda czy słota, chłopak ten zawdy z trzodą świń na pastwisku, dopóki śniegi nie spadły, przymrozki nie chwyciły. Żeby choć słówko dobre od kogo za to usłyszał!

W zimie znów całe dnie wysiadywał po stajniach między krowami, końmi, musiał wyrzucać nawóz, podścielać bydłu słomę, rżnąć sieczkę, a wieczorami przy łuczywach dał pierze, albo łuskał groch, czy kukurudzę. Dobrze zapracował na twardy kawałek chleba, który nieraz ze łzami połykał.

Zbiedzony, poczerniały na gębie, mały ten obdartus żył między zwierzęty, jakby nie ludzkie dziecko. To dziwne, że w Przybylicach nie było człowieka, coby się nad nim użalił. Może to prawda, co na okolicę głosili, jakoby chłopi z Przybylic pochodzili od Tatarów i dlatego taką twardość mieli w duszy...

Kiedy się Franek pokazał gdzie między ludźmi, już tam pełno było z niego natrząsania, naigrawania. O wiele się ze wstydu nie spalił, kiedy go otoczyli chłopacy, dziewuchy i, pokazując nań palcem, wołali:

— Widzicie, widzicie, świński stangret!

A starsi nie skarcili nigdy tej rozpustnej młodzieży, tylko jej śmiechem swoim dodawali jeszcze otuchy do bezcennych

figlów. Wyglądał ów naród, jak gdyby nie znał przykazań boskich i żadnej nauki w kościele nigdy nie słyszał. Szkaradne dzikusy, nie wiedzące tego nawet, że bliźniego miłować należy!

Byłby się ten młody Jelonek niezawodnie zmarnował, gdyż pozostając w takiej ostatniej poniewierce między zwierzęty jedynie, bez najmniejszego obcowania z bliźnimi, nigdy sobie człowiek nie wyrobi dobrego rozumienia o tej wielkiej prawdzie, że go Pan Bóg stworzył na obraz i podobieństwo swoje. Ale na szczęście trafił się osobliwy przypadek, który Franka wyprowadzil z onej ciężkiej niedoli i pozwolił mu zostać dobrym człowiekiem, prawdziwym chrześcianinem, który bliźnich swoich szanuje, a zwierzętom krzywdy nigdy nie czyni.

Jednego dnia przejeżdżał tam właśnie przez pastwisko pan Karol, syn starego już dziedzica Przybylic. Chciał on podobno obejrzeć stadninę, ile że taki młody zawsze do koni ciągnie. Ten miał w zaprzęgu łysego wałacha i kobyłkę, — parę tęgich gniadych koni, które się były wychowały także w stadninie na ługach nad Ikwą. Należy też wiedzieć, że syn onej kobyłki, roczny źrebczyk, już tam sobie wtedy hasał i panu Karolowi pewnie się go zachciało oglądać. Kiedy ten młody szlachcic wjechał między źrebięta, konie jego odrazu przypomniały sobie widać czasy młodości, a w dodatku kobyła poznała tam swoje dziecko i po macierzyńsku rżeć poczęła. Na to jej rżenie cała stadnina odpowiadała raz po razu chórem i końskie głosy rozległy się daleko po ługach. Tego źrebaki ze wszystkich stron pędziły co tchu do tego zaprzęgu, obskoczyły wkoło łysego i kobyłę, rżały, biegały niespokojne. Zrobiło się wtedy ogromne zamieszanie, rozgardyasz taki, że stadny, który podówczas był tam przy źrebiętach, nie mógł temu wszystkiemu dać rady.

Pan Karol chciał się czemprędzej wydostać z gromady źrebaków, co go otoczyły, a przytem szalejąc, szarpały, gryzły uprząż na jego koniach, które się też swoją drogą bardzo niecierpliwiły, wspinały i skakały. On myślał, że jak przeciągnie biczem jednego, drugiego młodziaka, a swoje konie zatnie, to cała czereda pierzchnie w różne strony i on sobie już bezpiecznie będzie mógł dalej jechać. Tymczasem rozognione źrebce dały ze siebie koniom zły przykład: pozadzierały one łby, postawiły w górę ogony, a rżąc, chrapiąc, puściły się ku mokradłom, ile tylko sił w młodych nogach miały. Skoro to spostrzegły zaprzą-

gnięte konie, dalejże za źrebiętami i pognały jak szalone — poniosły.

Wpada ta rozhukana gromada na sąsiednie pastwisko pomiędzy chłopską rogaciznę i nierogaciznę; robi się tam dopiero straszny rwetes. Czarne i białe owce w popłochu dymają gdzieś w zboża, a beczą ze strachu; krowy zadarły ogony, pierzchają w prawo, w lewo, i ryczą bojaźliwie; gęsi porozlatywały się na różne strony i jedna drugą zdaleka wrzaskiem nawołuje do kupy; prosięta, potratowane końskiemi kopyty, kwiczą, że uszy zatykać; mali pastuszkowie, ile tam tego drobiazgu ludzkiego było przy bydle, płaczą i drą się w niebogłosy.

Jeden tylko świniarczyk Franek, choć go wszyscy uważali za niezdarę, nic a nic nie stracił ducha. Rozbiegłych świń nie myślał on w takiej chwili zaganiać, jeno z biczem w ręku śmiało zabiegł drogę koniom pana Karola, śmignął, ciął je śmiało po łbach między oczy i zatrzymał wtedy właśnie, kiedy już niewiele brakowało, ażeby wpadły na srogie sapy, bagna. Odrazu dał się poznać, że ma w sobie odwagę nielada, a tylko taki zdatny jest do koni. To też po owem zdarzeniu ludzie w Przybylicach zaczęli o nim mówić:

— Ho, ho, nie taki on świński stangret, jak się wydaje na oko, skoro umiał zatrzymać w pędzie rozhukane konie! Wygląda — Boże zmiłuj się — jakby trzech zliczyć nie umiał, a kiedy przyjdzie co do czego, zuch tęgi z niego! Pewnikiem wykieruje się na ludzi lepiej niż drugi syn gospodarski!

We dworze zrobił sobie też oko od tego czasu; ale gdy go tam chcieli pieniędzmi wynagrodzić za onę przysługę, wręcz odmówił, powiedział im, że nie weźmie, jeno chciałby się dostać do stajni i służyć przy koniach, jak jego nieboszczyk tatuś! No, musieli sobie przypomnieć ojca Franka, starego Jelonka, fornala nad fornale, i pewnie uważali to za dobre, że chłopiec chce iść w ślady rodzica swego. Takiego nie mogli przecie odrazu zrobić fornalem, więc go tymczasem przyjęli za stadnego. Miał teraz na sobie porządne obleczenie, buty nowe na nogach, czapkę na głowie — wszystko, jak się patrzy. Korcił go jeno ów koń, ślepy Leśniczy, na którym z rozkazu ekonoma musiał zaganiać źrebaki. Chłopak litował się nad tym kaleką i nieraz mówił:

— Do czego to podobne, żeby biedny starowinka z zerwanemi nogami na wyścigi się upędzał za młodzieżą! Toć jego tu

icho kiedybądź wziąć musi: padnie i ja jeszcze przy nim kości nie pozbieram...

Brał się też Franek na sposoby, ażeby onę stadninę utrzymać w należytych karbach i nie pozwalać jej na szalone figle. Jak tylko zauważył, że ów kasztanek z białym ogonem i białą grzywą jest pierwszy do swawoli, że przewodzi źrebakom i one go słuchają, a przez to im trudno dać rady, tak sobie zaraz postanowił przyswoić, obłaskawić tego konika, uczynić go posłusznym na każde zawołanie Do takich rzeczy nie dochodzi się przez bicie, przez złość, jeno przez dobroć. Wiadomo przecie, że złość uczy złości, dobroć — dobroci. W rękach mądrego i dobrego człowieka zwierzęta nabierają rozumu i dobroci.

Ile razy stadny podszedł do kasztanka, zawdy go przyzywał ku sobie, głaskał po łbie, po szyi, a jeżeli zaś miał w kieszeni jaki kawałek chleba, dzielił się nim ze źrebakiem. Poprzednik Franka biczem tylko rządził i to pewnie rozzuchwaliło młodzież końską, uczyniło ją nieposłuszną, dziką. Teraźniejszy stadny lubił konie, a bicza używał tylko w ostatnim razie. Zaczął on od tego, że sobie przyswoił kasztanka, najswawolniejszego źrebczyka. Między chłopakiem a konikiem zawiązała się wielka przyjaźń: kasztanek szukał Franka, chodził za nim, nie przymierzając jak pies łasił się do niego. Franek znowu nigdy go nie trącił, tylko łagodnością zawsze nęcił do siebie. Chłopiec, gdyby był chciał, mógłby kasztanka dosiadać bez siodła i bez uzdy nim kierować. Inne źrebięta już też teraz nie szły tak, jak przedtem. Od czasu do czasu zachciewało się tam w stadninie jakiemu młodziakowi pobrykać, popędzić gdziebądź na złamanie karku; ale wtedy stadny musnął tylko wargami, czy klasnął językiem i kasztanek na to wezwanie zaraz biegł do Franka, a za kasztankiem — reszta stadniny. Niema w tem nic dziwnego i każdy człowiek łagodnością, dobrocią łatwo może dokazać takiej samej sztuki. Obłaskawiają się lwy, tygrysy, niedźwiedzie, wilki — najdziksze zwierzęta; tem bardziej można przywiązać do siebie konia, zwierzę swojskie.

Stary Leśniczy niewiele teraz miał do roboty, odpoczywał za wszystkie czasy, pokrzepiał siły trawą, wyrównał sobie chude boki, siartka się na nim wygładziła, a jednego dnia Franek miał ogromną uciechę, gdy ten ślepy siwek zaczął na błoniu ni stąd ni zowąd podskakiwać.

— Moi ludzie — rzekł do siebie stadny — toć ten trup, widzę, ożył!... Oj staruchu, staruchu, psich figlów ci się zachciewa w tym wieku! Myślałem, że on sobaka zdycha, a tu ludzie jeszcze z niego mogą mieć pociechę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KOZA.

OBRAZEK Z HISTORYI NATURALNEJ.

Skreślił

Mikołaj Rybowski.

(Dokończenie).

Zaklinam cię na koźle rogi!
Z kozła stał się owcą. (Z złego stał się dobry posłuszny).
Z kozła zrobił barana. (Przekręcił, przeinaczył).
Śmierdzi jak cap.
Śmierdzi jak kozieł.
Brodaty jak kozieł.
Capem śmierdzi, kto capa głaszcze. (Księga przysłów Adalberga).
Broździ jak kozieł w kapuście.
Przepadł jak koza z dudami.
Zawstydził się jak kozieł w kapuście.

Koza i koziol w języku polskim:

Koza i kozioł są także nazwami nie zwierząt, ale innych przedmiotów, n. p.

Koza = do noszenia cegieł na budowlę.
Koza = albo leszcz jest rybą.
Koza = kobra, gajdy, dudy instrument muzyczny.
Koza = więzienie.
Koza = na której rębacze rżną polana drew.
Kozieł = herb szlachecki.
Kozieł = u powozu, gdzie siedzi woźnica.
Kozły = broń na krzyż ustawiona.

Przewracać (*wywracać*) *koziołka* = przewrócić się do góry nogami.

Są rośliny kozielkowe (polemonia).

Wielu naszych rodaków wywodzi swą nazwę od kozy albo kozła, tak z szlachty jak i z nieszlachty.

Wiele jest miejscowości na ziemiach polskich, którym dano nazwę od kozy lub kozła.

Opowiedziawszy o kozie i u nas znanej i pospolitej, wypada mi nadmienić o innych gatunkach kóz.

Przyrodnicy twierdzą, że nasza koza pochodzi od dzikiej kozy bezoazowej, której ojczyzną są góry kaukazkie i perskie. Jest brunatna z czarną pręgą na grzbiecie, z czarnymi policzkami, czarną brodą i czarnym kudłatym ogonkiem. Rogi kozła są silne, bardzo długie i w tył wygięte. Jest większą od naszej kozy.

W żołądku kozła wytwarzają się twarde gałki zwane bezoazem czyli kamieniem bezoazowym, od którego to zwierzę nazwę otrzymało. Te kamyki uważano w dawnych wiekach za cudowne lekarstwo — a nawet i teraz półdzikie ludy Persyi i Indyj wierzą w uzdrawiającą moc bezoazu, i grube sumy zań płacą. Ma licznych prześladowców dlá mięsa i bezoazu.

Kozy angorskie i kaszmirskie czyli tybetańskie przewyższają wartością wszystkie gatunki kóz.

Ojczyzną kozy angorskiej jest okolica miasta Angory w Azyi mniejszej. Jest to zadziwiające, że nietylko kozy, ale także koty i króliki są tam pokryte długim, cienkim jedwabistym włosem, który jest w wielkiej cenie i służy na przednie i drogie tkaniny.

Kozieł angorski ma rogi poziomo rozłożone i ślimakowato zakręcone. Zaś koza ma rogi mniejsze w tył wygięte. Nogi ma krótkie a uszy zwisłe. Włos jej jest bielutki jak śnieg, długi w komyski kędzierzawe i miękki jak jedwab. Z wiekiem kozy i wełna jej grabnieje. Najcenniejszą wełnę mają kozy jednoroczne.

W lecie myją te kozy, a wełnę wyczesują grzebieniem, bo oblazi całymi płatkami. Sześcioletnie kozy już mają grubą wełnę. Angora dostarcza rocznie milion kilogramów przedniej wełny koziej, którą zakupują Anglicy na tkaniny kamelerowane i kamlot. Turcy jednak umieją najlepiej wyrabiać cenne tkaniny.

Kozy angorskie hodują teraz także w Hiszpanii i Francyi, gdzie każda przynosi właścicielowi do 24 franków rocznego dochodu.

Niemniej cennem zwierzęciem jest koza kaszmirska czyli tybetańska. Dostarcza bardzo delikatnej wełny, z której wyrabiają sławne szale kaszmirskie. Pokryta jest długim kosmykowatym włosem, pod którym jak puch jest delikatna wełna. Ubarwienie nie jednakowe. Zwykle jest śniade, a końce włosów mają połysk złoty. Ale są między nimi całkiem białe, żółtawe i czarne.

Koza kaszmirska ma krótką szyję, małe oczy, zwisłe uszy, długie szrubowate rogi w tył wygięte z małem wygięciem przy końcu ku przodowi. Twarz i uszy pokryte krótką sierścią.

Do Francyi sprowadzono także kozy kaszmirskie, gdzie się aklimatyzowały i przynoszą właścicielom 15 do 20 milionów franków rocznego dochodu.

Do cennych kóz zaliczają także kozy mamberskie czyli palestyńskie i kozy egipskie czyli tebańskie.

Losy osiołka z „Domu pracy".

Całemu miastu znany jest dobrze wózek z Domu pracy.

Ciągnie go osiołek.

Obok osiołka, trzymając go za uzdę, kroczy staruszek — poganiacz.

Bokiem ulicy idzie trotuarem zakonnica, wstępuje co chwila do sieni innego domu i dzwoni.

To już jeden z typowych lwowskich obrazków. Zakonnica, poganiacz i osiołek.

Jeden z osiołków domu pracy wysłużył wiernie i uczciwie lat 30. Siana za darmo nie jadł nigdy i ciągnął póki mu sił starczyło.

Na starość jedno kopyto przedniej nogi poczęło mu rosnąć niezwykle szybko. Ucinano mu je i podkuwano, cóż z tego kiedy jak na złość kopyto rosło wtedy jeszcze prędzej tak, że podkowę zrywać trzeba było i znowu róg krajać.

Historya ta z szybko rosnącem jednem kopytem, trwała już dość długo, sprzykrzyła się wreszcie zakonnicom.

Osioł był już i tak stary bardzo, aby więc pozbyć się kłopotu, poleciły służącemu, by odprowadził go do rakarza.

Żal było służącemu biednego osiołka, ale cóż robić. Wziął go na postronek i poprowadził.

Na śmierć skazany osiołek przechodząc obok stacyi dorożek przy ulicy Ossolińskich, zwrócił na siebie uwagę dorożkarzy.

— A gdzieto wiedziecie swojego osła? — pytali dorożkarze poganiacza.

— Do rakarza go prowadzę na zabicie — odparł.

— Cóż, czy słaby?

— E, nie bardzo — powiada poganiacz. — Zdrów jest, ale stary już i kopyto jedno rośnie mu za duże...

Dorożkarze otoczyli biedne zwierzę i głaskali je z współczuciem.

— Trzydzieści lat służył ten osiołek ludziom biednym, i teraz ma go na starość zabić rakarz pałką? Nie, tak być nie może. Ludzie biedni nie dadzą ci zginąć, poczciwy osiołku!

Tak gwarzyli między sobą dorożkarze.

— Sprzedajcie mi tego osła! — zaproponował wreszcie jeden — koronę dam za niego.

Poganiacz zgodził się na to chętnie — i stary osiołek, zamiast pod pałkę rakarza, przeszedł na własność dorożkarza Nr. 60.

Ponieważ róg zbytnio wyrosły utrudniał chód zwierzęciu, nowy zaś jego nabywca czemprędzej chciał go mieć w domu, przy pomocy swoich kolegów-dorożkarzy związał nogi osła, wysadził go na swoją dorożkę i zawiózł do domu.

Widok osła, siedzącego na aksamitnych poduszkach dorożki, był w najwyższym stopniu oryginalnym. Przechodnie stawali po ulicach.

Osiołkowi ubogich uratowali życie ludzie ubodzy — dorożkarze lwowscy.

Niegrzeczni są oni czasem — to prawda — uczciwi są natomiast i czułe mają serce!

Dzielni ludzie! (*Wiek Nowy*).

Czcionkami Drukarni Ludowej we Lwowie.